NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 6 Luty 1935 Rok IX



Cena 25 gr.

TREŚĆ ZESZYTU:

Od Redakcji	
My i Wołyń	Giżycki C. kurs II rolny
Słów kilka o naszej szkole	Motyka W. kurs II leśny
Ochrona przyrody a kultura	Erwin Cichoń kurs II leśny
Pierwszy krok do wsi	Fulara kurs III rol.
Kilka słów o wykształceniu i zawodzie leśnika	Ludwik Dzwonnik kurs II leśny
Dzień – noc	J. Chrzanowski kurs I leśny
Na tokowisku	Erwin Cichoń kurs II leśny
Bór o zmroku	L. D. P. kurs II leśny
Opowiadanie...	L. R. p. E. kurs III leśny

NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 6 Luty 1935 Rok IX

Jednośc, współdziałanie i braterstwo rodzą się na gruncie młodości,— młodości pięknej, żywiołowej, pełnej entuzjazmu Młodzieńcze porywy, serca bijące siłą i zapałem, zdolne ukochać wszystko, co piękne, nosimy i my młodzież białokrynicka w swych mocnych piersiach.

Wezwanie bratniej nam młodzieży krzemienieckiej do ściślejszego współżycia i współpracy na niwie licealnej przyjmujemy z pełną radością. Umiemy cenić przyjaźń— za tę odpłacamy sercem równie szczerem i otwartem.

Czujemy to wszyscy, że należymy do jednej licealnej rodziny, której dawną, żywą dotąd pamiątkę mamy kultywować — to nasz najsilniejszy węzeł. Wspólna nam młodość, jedne chęci, ideały utwierdzają tę naszą wspólnotę.

„Nasz Widnokrąg" stanowi pomost wzajemnej łączności duchowej i intelektualnej pomiędzy poszczególnemi odłamami młodzieży licealnej. Świadomość ta, że pisemko to jest nasze, winna nas pociągnąć do skupienia wysiłków, do współdziałania. Nasze radości, wartości i ambicje winny tu znaleźć swe odbicie i swój żywy wyraz.

Nasz udział we współpracy na terenie „Naszego Widnokręgu" jest próbą niedoświadczonych jeszcze sił. Jednakże te skromne poczynania, to rezultat naszych wysiłków, wyraz naszych myśli, serc, zapału, wiary i młodzieńczego entuzjazmu. Jest to dla nas czemś bardzo drogiem.

W tem ognisku jednoczą się nasze siły dla wykuwania nowych wartości, które mamy wnieść w życie szersze przekraczające ramy naszego życia szkolnego. Dążeniem naszem jest aby „Nasz Widnokrąg" był tą areną, na której każdy z nas mógłby próbować swych sił.

To jedna część naszego zadania.

Jest druga, ważniejsza, naczelna.

Każda akcja kieruje się celem jakimś zasadniczym, pewnym ideałem. Nasze wysiłki nie dla samego popisu ogniskują się w „Naszym Widnokręgu". I nam przewodzą głębsze cele, zadania i ideały, które żywo przemawiają do naszych młodych serc.

Jakim służymy ideałom?

Jesteśmy młodzieżą licealną Chlubimy się tam, że jesteśmy wychowankami Liceum Krzemienieckiego. Przejęliśmy prześwietne tradycje i chwałę Liceum, pielęgnujemy je z pietyzmem i dumnie nosimy je na swych barkach. Czujemy też wszyscy, że świetlany Duch Twórcy Liceum patronował nietylko pewnym zastępom ludzi, którzy roznieśli szeroko po świecie, sławę uczelni, ale patronuje również i nam. On żyje dalej w murach Liceum i wszczepia w nasze serca umiłowanie tych ideałów, które stawiał przed oczy pierwszym kadrom licealnej młodzieży. A ideały, które On głosił, są wieczne i żywe. Ani czas. ani zmienione warunki narodowego bytowania nie zmieniły ciągłej aktualności celów i zadań, jakie Czacki postawił uczelni Krzemienieckiej.

Przygotowujemy się do pracy nad budowaniem potężnej Polski. Społeczeństwo pokłada w nas wielkie nadzieje— bo jutro Polski od nas młodych zależy. Państwo potrzebuje ludzi silnych charakterem, ludzi wartościowych na każdym posterunku pracy.

Tu w naszem drogiem Krzemienieckiem ognisku związani wspólnotą serc i myśli, zjednoczeni w wspólnym wysiłku pracujemy dla jutra Polski. Szlachetne współzawodnictwo niechaj idzie w parze z braterskiem współdziałaniem w realizowaniu wytkniętych zadań.

KOMITET REDAKCYJNY
SZKOŁY ROLNICZEJ W BIAŁOKRYNICY

MY I WOŁYŃ

Dawniejsza i współczesna myśl Wołynia, a także myśl Polski, zmagając się z trudnościami, które napotyka w dążeniu do odnalezienia nowych dróg, po których ma dążyć teraźniejsze i przyszłe pokolenie, skwapliwie niejednokrotnie roztrząsa momenty ważniejsze minionej naszej historji, ażeby z ideologji przeszłości i istotnych zdobyczy doby obecnej, wyciągnąć wskaźnik, jak mamy dążyć do lepszago jutra, do lepszej przyszłości.

Myśl ta tworzyła się tu w odległym zakątku na kresach wschodnich w Liceum Krzemienieckiem. Tu koncentrowała się praca i wysiłki nad stworzeniem lepszego jutra ziemi wołyńskiej. Dla jasnego uświadomienia sobie, czem było dla Polski i Wołynia Liceum Krzemienieckie dawniej i czem jest dziś, cofnąćby się należało w odległe lata dziejów naszych i stwierdzić, że województwo Wołyńskie, jako jedno z kresowych

i odległych województw Polski, od najdawniejszych czasów pozostawało w pierwotnej ciemnocie. Taki stan opłakany tej ziemi trwał bardzo długo—a spowodowany był brakiem szkół i innych ośrodków kulturalno-oświatowych. Szkoły centralnej Polski były zbyt oddalone od kresów wschodnich i nie mogły dostatecznie silnie oddziaływać na podniesienie oświaty na Wołyniu. Z chwilą powstania Liceum Krzemienieckiego historja Wołynia ściśle łączy się z dziejami tej słynnej placówki naukowej. Od tego czasu przez usilną pracę tej instytucji, oświata, a z nią i kultura na Wołyniu zaczyna się dźwigać. Przez długie lata ciężkich wysiłków zbiorowych, kuła się lepsza przyszłość ziemi wołyńskiej. Liceum Krzemienieckie, kontynując myśl przewodnią swoich wielkich założycieli, zwróciło szczególną uwagę na wykształcenie światłego grona pracowników w różnych zawodach, przygotowanych do życia praktycznego. Poza szkołą działalność Liceum przejawiała sie w tworzeniu i koncentrowaniu ruchu organizacyjnego w społeczeństwie wołyńskiem. To tworzyło szczere współżycie, tak, że nie było można odgraniczyć szkoły od otoczenia. Ten świetny i szybki rozwój działalności Liceum przerwany został przez zaborców. Przez kilkadziesiąt lat zgórą, bez żadnych przeszkód, Moskal, mógł swobodnie prowadzić politykę rusyfikacyjną. Pamiętni tych ciężkich czasów przygnębienia ducha narodowego, musimy zwiększyć swoje wysiłki w trójnasób, ażeby odbudować to, co zostało stracone—to, co wydarła niewola.

Państwo polskie zawsze doceniało pracę i wysiłki Liceum Krzemienieckiego, to też z chwilą kiedy Ojczyzna nasza odzyskała wolność, Liceum Krzemienieckie, po długoletniej przerwie swojej działalności, rozkazem Naczelnego Wodza, znów powołane zostało do życia. Rozkaz ten brzmi: „Słynną tę uczelnię powołuje niniejszem do nowego życia, by snuła dalej wielką myśl swych założycieli i pełniła tę samą służbę, na pożytek Ojczyzny, nauki i cnoty".

Dziś, po długich latach pracy i wysiłków ta myśl przewodnia jest podjęta z wielkim zapałem przez Liceum i wielkie grono jego wychowanków, Wyniki tej pracy nie zdołały jednak zaspokoić potrzeb ludności Wołynia,— bo w miarę wzrastania oświaty i kultury, wzrastają też wymagania człowieka. Nastąpiły nowe czasy, które znamionuje wyścig pracy stąd też rozszerzają się i zadania Liceum Krzemienieckiego, a tem samem i nas wychowanków tej instytucji. My wszy-

scy wychowankowie Liceum Krzemienieckiego, w służbie dla naszej ziemi kresowej z wielkim zapałem podnieśmy te wszystkie hasła i obowiązki. Z odwagą i mocą powiedzmy sobie, że pokładanych w nas nadziei nie zawiedzimy,— bo jesteśmy młodzieżą, w której hart ducha wykuł trud i znoje. Wszak pamiętamy tak świeżo jeszcze całe piekło bolszewizmu, przez które przeszliśmy. Duża część z naszej gromady młodzieży licealnej jest młodzieżą niezamożną, która od zarania swojego dzieciństwa rzucona była w wir walki życiowej, w której, zdobywając środki do życia, kierowała się własną myślą i siłą. Te wszystkie trudności nie potrafiły jednak nas złamać, a tylko kształtowały nasze dusze i nasze charaktery. Dzięki tym trudom stajemy się szlachetniejsi potrafimy łatwiej zrozumieć ból i duszę każdego człowieka.

Duża część nas, młodzieży licealnej, corocznie rozprasza się po naszej ziemi kresowej, pozostając w bezpośredniej styczności z ludnością wiejską. Pamiętajmy wszyscy, zarówno ci, którzy już weszli w to życie, jak i ci którzy rokrocznie opuszczają mury Liceum, że naszym obowiązkiem jest nie pogardzanie tym szarym człowiekiem, a s ł u ż e n i e m u... Musimy stać się ludzi tych nauczycielami, doradcami i braćmi, powinniśmy razem z nimi przeżywać ich troski i niedolę, współczuć ich biedzie i nędzy i wspierać w miarę możności i sił. Idąc do tej pracy, nie traćmy ducha nawet wtedy, kiedy naszą szczerość i współpracę odtrącą. Wiedzmy o tem, że jeszcze stosunki narodowościowe nie ułożyły się w myśl starej idei jagiellońskiej i dotychczas snują się gęste opary nienawiści. Zmienić to mają nasze młode siły, nasz zapał.

Giżycki C. kurs II rolny.

SŁÓW KILKA O NASZEJ SZKOLE.

Zboczywszy w lewo z głównego dubieńskiego traktu, boczna dróżka biegnie przez czarne pole ku wyraźnie zarysowującej się ścianie dębowego lasku. Wreszcie wpada pomiędzy drzewa i prostym kołem wgłębia się w ciemną masę drzew. Przed oczyma przesuwają się majestatyczne dęby,—zastygłe w bezruchu, smigłe topole i rozłożyste klony, aż wreszcie z poza wieńca lip wyłaniają się białe ściany i strzelające w niebo wieżyczki. To ongiś białokrynicki zamek, dzisiaj Średnia Szkoła Rolnicza. Architektoniczne elementy gotyckie budowli harmo-

nizują z pewną powagą i surowością miejsca, która wyczuwa się w poszumie wyniosłych drzew.

W zamku mieści się internat dla uczniów. Szkoła znajduje się poza internatem w ładnym, nowoczesnym budynku. Mimowoli nasuwa się także zestawienie: dawność i nowoczesność. To jakby symbol, który kojarzy w sobie: nowoczesność w badaniu i nauce i tradycyjność w kultywowaniu odwiecznych a zawsze trwałych idei — pracy i obowiązku.

Szkoła obejmuje dwa wydziały: rolniczy i leśny. Trzyletni kurs nauki ma zapewnić uczącej się młodzieży gruntowne wykształcenie zawodowe.

Znajomość przyrody — to warunek zasadniczy nowoczesnego kształcenia się i przysposobiania do pracy na roli, czy w lesie. Obserwacja przyrody, badanie zjawisk, jakie wkoło zachodzą, dociekanie procesów przebijających nieustannie w łonie natury, wczuwanie się w tętno jej życia — słowem współżycie ciałem i duszę z przyrodą—to szkoła stawia każdemu przed oczy, jako zadanie naczelne i ułatwia realizowanie go opierając kształcenie fachowe na trzech głównych przedmiotach: chemji, gleboznawstwie i botanice.

W związku z powyższem szkoła stara się wpoić należyte zrozumienie, w jakiej mierze i wzajemnym stosunku występują w wytwarzaniu dóbr na żywym warsztacie przyrody dwa czynniki: siły natury i wpływ człowieka. O ile dotąd n. p. w dziedzinie leśnictwa przewagę miał czynnik drugi, o tyle dzisiaj nauka, w trosce o zachowanie siły, odporności i własności biologicznych lasu sprowadza kulturę do roli czynnika drugorzędnego. Nie naginanie do form i utartego szablonu, ale stwarzanie warunków sprzyjających naturalnemu rozwojowi sił przyrodzonych, umiejętne ich wspomaganie i zapobieganie złu — oto zakres działania człowieka.

Dalszą ideą kształcenia jest wyrobienie w uczniach naukowej samodzielności. Wiedzę podaje się zgóry w podstawowej jej treści, a w poszczególnych zagadnieniach pozostawia się możliwie najszersze ramy, które uczeń sam swoją pracą i wysiłkiem ma uzupełniać. Tym zadaniom służą ćwiczenia, druga obok lekcyj część zajęć umysłowych. System ten ma na celu bezpośrednie wprowadzenie umysłu w sferę badanych zjawisk, konfortowanie zdolności ucznia z zagadnieniami, które sam ma rozwiązać. Wprowadzony w ten sposób osobisty pierwiastek w dziedzinę pracy ucznia wiążącego z nią pew-

nym węzłem uczuciowym i wysiłek, jaki on wkłada przy zdobywania wiedzy — to dwa momenty, mające w kształceniu doniosłe znaczenie.

Integralną część nauczania stanowi wyszkolenie praktyczne w zawodzie, co obok nauczania teoretycznego ma znaczenie conajmniej równorzędne. Wprowadzanie teorji w życie i konfrontowanie jej z rzeczywistością — to właściwa zasada nauczania w szkole białokrynickiej. Równorzędność tych dwu rodzajów zajęć uwzględniana jest w codziennym rozkładzie czynności ucznia. Urządzenia i odpowiednie tereny służą temu celowi. Uczniowie z wydziału rolnego w szkolnej „zagrodzie" wykonują wszelkie zajęcia, związane z prowadzeniem gospodarstwa. To praktyczna szkoła, przysposabiająca ich do przyszego zawodu. Podobnie leśnicy mają możność praktycznego kształcenia się w leśnictwie szkolnem t. zw. „Zabrodziu."

Istniejące na terenie szkoły towarzystwa, jak Towarzystwo Koleżeńskie, skupiają wszystką młodzież szkolną, Towarzystwo Rolników i Towarzystwo Leśników, mają za cel samopomoc, oraz kształtowanie pewnych społecznych wartości, które każdy uczeń po wyjściu ze szkoły ma wnieść w szerszy teren swej pracy. Sąd koleżeński, jako instytucja w działaniu niezależna, strzeże właściwych norm współżycia koleżeńskiego oraz usuwa jego wady.

Bibljoteka dostarcza młodzieży dobrej lektury oraz cennych dzieł fachowych; nadto liczne pisma i gazety dają możność rozszerzania kręgu swych wiadomości.

Nieobce są młodzieży zainteresowania społeczne. Zbliżenie do ludu, zajęcie się jego dolą, szerzenie kultury, oświaty' praca w spółdzielczości — to zadania, których spełnianie młodzież pojmuje jako swoje naturalne posłannictwo. Pracować na rzecz podniesienia oświaty i dobrobytu wśród ludu, wykazać współżycie między dwoma narodami współzamieszkującemi wschodnie ziemie, być dźwignią kultury polskiej na Kresach—oto szczytne ambicje i zadania młodzi białokrynickiej.

W. Motyka kurs II leśnv

OCHRONA PRZYRODY A KULTURA.

(Artykuł dyskusyjny.)

Jak na rzecz codzienną patrzymy na sprawy przyrody, nie wymagającej specjalnego troszczenia się o nią. Zdaje się nam, zwłaszcza mieszkańcom miast, że przyroda nie jest nam,

zwłaszcza mieszkańcom miast, że przyroda nie jest nam potrzebna, wszak nie mamy z nią styczności, a będąc okazyjnie na łonie przyrody, nie umiemy oceniać jej znaczenia.

Przenieśmy się myślą wstecz, w czasy, kiedy człowiek, nawpół jeszcze dziki, żył w dziewiczych, nieprzebytych borach. Człowiek ten napewno doceniał znaczenie przyrody, bo z niej ciągnął wszystkie swoje możliwości bytowania. Żył z przyrodą w wielkiej zgodzie i zresztą był od niej zależny.

Z rozwojem jednak kultury, gdy człowiek zaczyna uprawiać rolę, corazto mniej dba o stosunek swój do przyrody, która mu dawniej przynosiła wiele korzyści w postaci zwierzyny łownej, owoców leśnych i t. p.

Wkońcu dochodzimy do dzisiejszego stanu rzeczy: wielka ilość ludzi mieszka po miastach bez styczności z przyrodą, a stąd wypływa niezrozumienie jej i powód niszczycielskiej działalności „mieszczucha".

A jak postępuje wieśniak? – Nie jest on lepszy. i on jest w obecnym czasie zmaterjalizowany, chcąc ze swej roli wydobyć jaknajwięcej zysków. Wszystkie więc nieużytki usiłuje zamieniać na żyzne pola, choć tam mogła rosnąć specjalna roślinność, lub gdzie rosły krzaki, w których gnieździły się ptaki lub przebywały inne zwierzątka. Tem samem rolnik niszczy częstokroć barwną rozmaitość krajobrazu a stwarza monotonny, tylko na zysk obmyślony, obszar.

Można podać jeszcze jeden powód, który wpływa na niedocenianie pielęgnowania i ochrony objektów przyrody. Przecież jedna roślina podobna jest do drugiej, jedno stworzonko niedużo różni się znów od innego i t. d. tak, iż człowiek, który w pewnej chwili, coś niszczy, w duchu sobie myśl., że przecież tyle jeszcze zostaje innych roślin czy zwierząt, że to nie uczyni wielkiego uszczerbku przyrodzie.

Najwięcej jednak niszczeniu ulegają rośliny — kwiaty, bo te przytwierdzone są do podłoża i pozbawione ruchu, a zwierzątka mają możność ucieczki... Ile razy człowiek bezmyślnie zrywa kwiaty, nosi je przez pewien czas i wyrzuca je. Jaką miał przyjemność? Czy nie byłoby przyjemniej, gdyby mógł się popatrzeć na żywe okazy, stojące w całej swej okazałości?

Największymi niszczycielami są zwłaszcza wycieczkowicze, którzy nietylko na miejscu pobytu niszczą otoczenie, i zaśmiecają je, lecz na pamiątkę i dla rozrywki zabierają kwiaty, które często i tak po drodze wyrzucają.

Czas jednak byłby już najwyższy zająć się poznaniem zabytków przyrodniczych i ochraniać je z należytem zrozumieniem. Ludność w kraju wciąż wzrasta a przyroda wciśnięta sostaje w coraz to ciaśniejsze ramy. Dawniej powiedzieć było można: „Był las—nie było nas, nie będzie nas—będzie las!“ Dzisiaj przysłowie to nie jest już aktualne, bo jesteśmy świadkami, że lasy się wciąż zmniejszają, tak, że mogą zupełnie zniknąć albo stać się wielką rzadkością.

Ileż uroku straci znów Polesie—kraj o wysoko rozwiniętej przyrodzie - przez osuszanie go. Kultura domaga się jednak tego, by nie istniały nieużytki, ale czy kochający przyrodę człowiek może powiedzieć, że bagna poleskie są nieużytkami? Ileż tam zwierzyny—łownej i niełownej, roślin małych i dużych, które wszystkie będą musiały szukać innej siedziby lub wogóle stracą bytowanie.

Ogniska kultury czem są dla przyrody? Przemysł, jako wyraz wysokiej kultury przynosi duże szkody przyrodzie. Jest on molochem, który wszystko niszczy... Człowiek się musi stroić i to w najpiękniejsze futra, niekoniecznie najlepsze i najcieplejsze, a tem samem niszczy wiele zwierząt futerkowych. Odpływy fabryk zatruwają wody i niszczą ich mieszkańców, ryby. Dymy kominów zatruwają powietrze, szkodząc płucom zwierząt a nawet ludziom; trujące gazy kominów niszczą również w szerokim pasie roślinność.

Człowiek sięga dalej swoją, niszczycielską działalnością. Zakłada w górach kamieniołomy, a wodospady, jedne z największych cudów przyrody, ujarzmia i wyzyskuje. Ścieżki górskie zaopatrzone są w poręcze i drogowskazy, na szczyty gór prowadzą kolejki, w uroczych zakątkach gór stoją schroniska, częstokroć domy, a raczej budy, o nieestetycznym wyglądzie.. A wszystko to dzieje się w imię kultury.

Tam, gdzie cywilizacja stoi na należytym poziomie, w ośrodkach przemysłowych, tam przyroda traktowana jest jako rzecz niekoniecznie potrzebna, będąca dla człowieka tylko pewnym rodzajem urozmaicenia. Zdaje się mu, że przyroda, wszystko co ma, oddać powinna na jego potrzeby, a on wzamian obowiązany jest tylko do dawania jej jakiegokolwiek bytu, nie zastanawiając się nad tem, że trzeba dać przyrodzie coś więcej.

W okolicach znów o niższej kulturze, np. na wsi, sprawy powyższe przedstawiają się nieco korzystniej. Taki ko-

bywatel widzi częstokroć korzyści, które ciągnie z przyrody i dlatego odnosi się do niej z większem uszanowaniem. Wieśniak nie niszczy lasu bezmyślnie, bo wyrąbując jakieś drzewo widzi w tem cel, a zasadniczo nie przyczynia się do niszczenia roślin rzadkich przez zbieranie w bukiety.

Ganić też należy postępowanie turystów, którzy w większej części składają się z inteligencji, często rysują głazy, które stanowią zabytki przyrody martwej oraz stare wiekowe drzewa, którym już z powodu sędziwego wieku należałoby się uszanowanie. Zwyczaj ten zanadto jest zakorzeniony, ale przy dobrej chęci da się wyrugować. Przecież w innych krajach sprawy tak się nie przedstawiają.

Godnym napiętnowania jest też inny fakt niszczycielskiej działalności człowieka. Idąc na spacer, bezmyślny człowiek, zrywa liście, tak sobie, dla fantazji, lub wywijając laską, obtrąca gałązki, kalecząc drzewo. Czy człowiek ten nie wie, że przyczynia roślinie cierpienia? Wszak każda roślina jest stworzeniem żywem odczuwającem wszelkie zadane jej ciosy. Nie powinniśmy też korzystać z bezbronności przyrody, bo gdyby przyroda mogła się bronić, napewnobyśmy jej nie atakowali.

Na zachodzie, gdzie idea ochrony przyrody postępuje naprzód, widzimy już na tym polu pewną poprawę...

Jak częste są też wypadki niszczenia i nawet dręczenia — zwłaszcza przez wieśniaków — zwierząt pożytecznych, jak kreta, nietoperza, niektórych sów i jastrzębi i t.d. Na tym polu daje się zauważyć brak odpowiedniej propagandy, która obejmowałaby zwłaszcza ludność wiejską.

Są coprawda już ludzie w Polsce, którzy całą duszą i sercem oddani są sprawie ochrony przyrody. Dużo też już zdziałali, lecz bez pomocy szerokich warstw społeczeństwa, a zwłaszcza naszych młodych sił, praca ich idzie ciężko. Ludźmi tymi, z entuzjazmem pracującymi dla tej idei, są przedewszystkiem: profesor Uniwersytetu Krakowskiego i przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Przyrody (P. R. O. P.) dr. Władysław Szafer i członkowie tej Rady: prof. Janusz Domaniewski, prof. Ferdynand i Walery Goetel, dr. Bolesław Hryniewiecki, dr. Stefan Kreutz, prof. Michał Siedlecki, dr. Stanisław Sokołowski, dr. Adam Wodziczko i wielu innych.

W Polsce w różnych miejscowościach zawiązały się Delegatury P. R. O. P., które chcą współpracować ze społeczeń-

stwem nad wszczepieniem zamiłowania do przyrody w duszę człowieka. Pozatem Delegatury te starają się wprowadzić w życie ogólną dążność ku ochronie przyrody.

Musimy dojść do tego,' że poznamy rzeczywistą wartość przyrody a zwłaszcza lasu i nie będziemy na nią patrzeli jako na rzecz naszą, lecz jako na rzecz równą nam, którą powinniśmy nietylko szanować, ale również kochać.

Nie możemy do ochrony przyrody przystępować, mając na oku cele materjalne, albo jej znaczenie pamiątkowe, lecz dla niej samej, dla odnalezionych w niej wartości idealnych, wypływających z głębi naszych dusz.

Dochodzimy więc do wniosku, który zmierza do zachowania nieskażonego piękna naszego krajobrazu. Nie możemy odtwarzać już tego, co kultura zniszczyła, lecz możemy wziąć pod opiekę objekty, którym grozi zagłada. A więc:

„Chrońmy przyrodę ojczystą!“

Erwin Cichoń kurs II leśny.

PIERWSZY KROK DO WSI.

Ze wszystkiem trzeba się liczyć, nawet z czasem, bo nigdy niema go zawiele. Stracona chwila nie wraca już więcej Wiecznie pracować też nie można, trzeba odpoczynku, wytchnienia. Właśnie te wolne chwile postanowiłem spędzać poza szkołą Jako teren wybrałem sobie pobliskie łąki i pola. Dlaczego? Przecież mógłbym pójść do kina lub teatru. Odpowiedź na pytanie znalazłem w znanem przysłowiu: „Natura wilka ciągnie do lasu“.

Ha! Przecież po takich łąkach kiedyś biegałem. Łąka jest moją przyjaciółką od lat dziecięcych i dziś o niej nie zapominam. Chodzę nad brzeg rzeki wsłuchiwać się w szum fal. Podpatruję małe rybki, jak skupione razem płyną pod prąd. Tak, zdrowa ryba zawsze pod prąd płynie! Idę dalej. W drodze spotkałem mały kopiec, przyglądam się—to mrowisko.

Zatrzymałem się: jakie tam wre życie, ruch, praca! A wszystko zgodnie, bez zatargów. Podziwiam organizację. Każda partja robotnic idzie swoją drogą, nie przeszkadza innym, bez straty czasu. Ruch wielki, lecz bez urzędnika ruchu.

Myślę — czemu ludzie w jednem państwie, tak jak te mrówki w jednem mrowisku, nie pracują wspólnie?

Idę dalej i obserwuję. Tu rzuca mi się w oczy drobna,

mniejsza od poprzednich mróweczka, wytrwale ciągnie dziesięciokrotnie dłuższe źdźbło. które co chwila o jakąś trawę zawadzi i trzyma się.

Zdawaćby się mogło, że już nie ruszy z miejsca, że pójdzie szukać czegoś innego. Tymczasem tak nie jest. Obchodzi naokoło źdźbła, podnosi, rusza, wywraca się wraz z niem, ale nie porzuca, ciągnie dalej, aż wreszcie zdołała odczepić i dalej to źdźbło pociągnąć. Zbliżała się do celu.

Czegoż my ludzie tak mało jesteśmy wytrwali w swych pracach i tak nie zwykli do mozołów?

* *
*

Uśmiechnąłem się z radości, rodzi się we mnie dziwne zadowolenie, jestem wzmocniony duchowo, pełen silnej woli i wytrwania w dalszej walce życia. Gotowy jestem pokonywać największe opory.

*
* *

Po tych odwiedzinach wypada mi wracać, lecz dokąd? Znów pytanie.

Do „domu“ (internatu). który jest innym niż dom prawdziwy rodzinny, z którego wyjechałem.

Nierad jestem powracać do murów szkolnych, choć one nie są ponure. Brak mi w nich dużo, dużo rzeczy z tego otoczenia, w jakiem się wychowałem.

Postanawiam zajrzeć gdzieś na podwórko, płotem ogrodzone i do ogródka. Może spostrzegę coś ciekawego?

Idę do wsi. Na skraju spotykam gospodarstwo małe, widać niebogate, budynki niskie, strzechą kryte.

Płoty ze sztachet, porosłe mchem stoją podparte. Za domem sad, a w nim parę uli swojej roboty. z wyglądu już nienowe.

Drzewa owocowe proszą choć o trochę pokarmu i troskliwości. Na podwórku też niewesoła robi się mina, bo wszystko rozrzucone, mówi o sobie. że nie na swojem stosownem miejscu. Chlewy razem ze stodołą małe i ciasne.

Chata niebogata. Przez małe szybki okien widać kwiaty, a i w ogródku jest ich dużo, tylko jedne drugie ocieniają. Po takiej wycieczce w drodze powrotnej myślę sobie: Jakby tu się zabrać do tego, aby zmieniło się oblicze zagrody wołyńskiej. Żeby na polach lepsza pszenica się rodziła, mniej chwastów było.

By łąki mokre, zabagnione odwodnić, by bujną runią traw słodkich się pokryły.

Przeciez o tem wszystkiem w szkole się uczymy. By sadek rozweselić, oczyścić, pobielić drzewa. Kiedy gęsto pokryją się kwiatem, to z brzękiem radości obsiądą go pszczoły, Na podwórku też zapanowałby ład i porządek. Podniosłaby się chata od ziemi, weselsze przybrałaby oblicze.

Od czego zacząć?

Początek to ważna rzecz, ciśnie mi się to do głowy. Postanowiłem przyjść jeszcze raz. Za tydzień, po tej wycieczce wyrywam się z murów szkolnych znów w to samo miejsce. Na szczęście zastaję gospodarza, pojącego swoją chudobę. Przywitałem się, rozmawiam, ale on po ukraińsku, a ja po polsku. Nic nam to nie przeszkadza, bo nawzajem rozumiemy się. Towarzyszyłem mu w obrządku domowym, obserwując przebieg pracy wykonywanej przez niego. Zadaję mu pytania dlaczego to tak robi, a nie inaczej. On mniej lub więcej wyczerpujące dawał odpowiedzi. Po skończonych zajęciach zaprosił mię do chaty. W chacie długo o różnych sprawach gawędziliśmy. Podsuwałem mu myśli, czyby tej pracy tak czy inaczej nie mógł wykonać. Odpowiedzi były różne, najczęściej przeczące. Tłumaczył: „a na to trzeba pieniędzy. Tego sposobu ja nie znam. u nas nie robią tak.“ Zapytałem jeszcze, czy umie czytać? odpowiada: „Nie umiem — lecz proszę przychodzić do nas i poczytać w chacie gazetę. Ja chętnie posłucham“. Tym razem myślałem sobie: doskonale! Pójść do chaty to mało, pójdę ja z nim na pole. Będziemy razem orać i siać.

Co na to powiecie Koleżanki i Koledzy z ławy szkolnej?.. Wszak dużo nas jest, którzy opuściliśmy wieś dla nauki. Nie opuszczajmy jej w całem tego słowa znaczeniu. Ale po ukończeniu szkoły i objęciu stanowisk współpracujmy nadal ze wsią i bądźmy wiecznie ludźmi wsi.

O tem jak próbujecie pracować na wsi, czy jak w przyszłości pracować będziecie, chciejcie podzielić się swemi poglądami. Napiszcie coś o tem do „Naszego Widnokręgu.“

Fulara k. III. rol.

KILKA SŁÓW O WYKSZTAŁCENIU I ZAWODZIE LEŚNIKA.

Celem moim będzie zaznajomienie ogółu Koleżanek i Kolegów z podstawowemi pojęciamii za sadami wykształcenia i za-

wodzie polskiego leśnika. Dużo czytamy, rozmawiamy i słyszymy o lesie i pracownikach w nim zajętych, lecz gdyby nas ktoś przypadkiem zapytał, co to jest las, to napewnobyśmy po długim namyśle z niepewnością odpowiedzieli, że las „jest to kupa drzew, rozmieszczonych bezładnie, zajmująca pewną przestrzeń".

Inaczej przedstawi się pojęcie lasu, jeśli dokładnie rozpatrzymy te elementy, które składają się na jego istotę. Las jest najwyżej uorganizowanym tworem socjalnym ze wszystkich zbiorowisk roślinnych, do czego doszedł drogą długoletniej ewolucji na prawach sukcesji zbiorowisk roślinnych. Podkreślam, że pod słowem las nie trzeba rozumieć jedynie drzew, które tworzą drzewostan—jako istotę lasu, lecz także cały zespół roślin krzewiastych, tworzących t. zw. podszycie. Do istoty lasu wliczyć należy również tak mnogą co do gatunków, a tak obficie co do ilości, występującą w naszych lasach roślinność zielną. Wspomnieć należy również o świecie zwierzęcym, tak licznym do niedawnych czasów, a sławnym po dzień dzisiejszy, w postaci brodatego żubra—króla puszczy,— o dumnie wzniesionej głowie jeleniu, niedźwiedziu, dziku i innej zwierzynie.

Praca leśnika polega wyłącznie na ciągłych i nieprzerwanych badaniach. Jeśli chcemy bodaj w ogólnych zarysach przedstawić sobie fundamenty, na jakich opiera się wiedza leśna i dać przykład nauk ścisłych, które ona w zakres swój wciąga, to przekonamy się, że wchodzą tu niemal wszystkie nauki przyrodnicze i matematyczne. Bo jeżeli rozpoczniemy od tego warsztatu, na którym wspólnie z rolnikiem pracujemy t. j. gleby, to już tu spotkamy się z całym splotem zagadnień z dziedziny geologji, petrografji i mineralogji, chemji organicznej i nieorganicznej, biologji mikroorganizmów, roślin zielnych i runa leśnego. Przychodzą zkolei zagadnienia meteorologiczne i klimatyczne, jako druga część środowiska, w którem żyje las, a które określamy mianem siedliska. Dochodzimy wreszcie do drzewostanu, jako istotnego przedmiotu naszych zainteresowań; tu wchodzi w grę znajomość fizjologji roślin, anatomji drewna, morfologji drzew, hodowli lasu, miernictwa, taksacji, pomiaru drzew, a następnie cały świat zwierzęcy, zamieszkujący nasze lasy, całą rozległą dziedzinę ochrony lasu, opierającą się na wyczerpujących i dokładnych badaniach zoologicznych, na badaniach symbiozy, pasożytnictwa

w łączności z florą lasu. Tak się przedstawia w krótkim pobieżnym szkicu gmach nauki leśnej. Ileż to gałęzi wiedzy wkracza w jej dziedziny, można powiedzieć, że leśnik-badacz posługiwać się musi dzisiaj wieloma naukami biologicznemi i matematycznemi.

A teraz wyobraźmy sobie młodego leśnika, który, mierząc siły na zamiary, pragnąłby ogarnąć możliwie jaknajszerszy obszar umiłowanej wiedzy. W zapale swym nie wierzy, że do osiągnięcia tego celu nie wystarczają siły jednego człowieka, ani jeden krótki żywot ludzki, lecz sądzi, że wysiłkiem woli i pracy zdoła opanować całą, niezmierzoną dziedzinę i dojdzie kiedyś do zamierzonego celu. Ale życie ma swoje nieubłagane prawa i wedle nich płynie. W rezultacie pozostaje niestety wiele nierozwiązanych zagadnień, wiele rozpoczętych a niedokończonych prac, na których wykończenie brakło sił i czasu.

Taki jest los każdego badacza leśnika, ale mimo tego, że u schyłku życia z żalem spogląda na to, czego zaniechać musiał, to jednak czuje się szczęśliwy, bo lata jego ziemskiej wędrówki wypełnione były miłością dla nauki. a praca dla wiedzy była jego największem szczęściem i rozkoszą.

Ludwik Dzwonnik kurs II leśnv.

DZIEŃ — NOC.

...Świtać poczęło na dalekim wschodzie nieba. Wiatru podmuchy— kołysanki smutne bajań nocnych,— ustały zmęczone, zlały się z ciszą, zginęły, przepadły w niej. Noc wolno, wolniutko, majestatycznie ustępować zaczęła z pól do lasów, by kryć się za pnie olbrzymie, przytłaczające swoją wielkością,— chować w krze jałowcowe, w gąszcz ich sekretną— przepaść na bagnach niedostępnych, pod zeschłemi liśćmi paproci, liszajem szronu pokrytych, w królestwie mchów. Rozpylając lekkuchne mgiełki,—gwiazdy pobladłe gasły. Pyły owe gwiezdne gęstnieć zaczęły i przepajające się cudnym kolorem tęczowej złudy, zajęły niebo paseczkiem wąziuchnym, czerwonym—tuż nad ziemią—w horyzontowej dali. Czerwień owa ciemna jaśniała z chwilą każdą w słońcu nadchodzącem, aż słońcem się stała—płomiennem, wczesno-wiosennem słońcem. Wtedy to w strużynach fal płytkiego strumyka, co wśród korzennych wykrotów płynie—zapaliły się jakoweś lśnienia ogni nieznanych. Wtedy to z nisko nawisłej gałęzi, czarnej olszyny, całej w

pączkach siwych, mała modra sikorka zaniosła się śpiewem powitalnym dnia — w uroczysku leśnem. Wtedy to, las i świat stanął w słońcu — Dzień się skończył. Delikatny liljowy zmierzch z przyziemnych śniegów, w aksamitną noc wpłynął, ku gwiezdnym przestrzeniom, ponad drzewa uśpione letargiem śmierci. Uleciał zmierzch z cichym szmerem trącanych gałązek w koronach, z prośbą błagalną o wiosnę, poszarzałych kęp wrzosu, co z pod śniegów tających wypełzły wokół pni brzeźnych. Noc bezksiężycowa czernią otuliła wszystko. Zapatrzonym oczom żywych stworzeń pozwoliła zasnąć. Pogładziła dobrotliwą dłonią, czuby niskich, karłowatych, jeszcze zadętych wierzb, co nad ślepemi smugami wód, jesienią zebranych, na niskich łąkach leśnych, teraz na lodowe tafle ściętych — strażnicze życie pędzą. Wiatrom swoim kazała na pustych polach, wskroś śniegów, lasów i nieba, — grać — pośfistywać rapsodje zimowe, cudne w swojej dzikości. Kazała je grać — pośfistywać tam, gdzie powyginane gałęzie drzew i krzewin leśnych, pozrzucały okiść śnieżną w dnia słońcu, tam, gdzie ockniona ziemia oddychać zaczyna, gdzie budzi się wiosna; hej! hohej! hej! — śpij ziemio, śpij, bo jeszcze czas zbudzić ci się, hej! hohej! hej! - śpij, bo jeszcze dnie krótkie, wiosna dopiero iść zaczyna z dalekich krain, wiotka i nieśmiała po snach cudnych; muzyko podniebna, lasowa i nadziemna graj — na sen kojący, graj zasłuchanym do rana smutnego, graj, bo piękna jesteś, ty co życie mrozem ziębisz. — —

J. Chrzanowski kurs I leśny.

NA TOKOWISKU.

Cicho szumią w porannym wietrzyku wierzchołki sosen i świerków, a pozatem panuje zupełna cisza, niezmącona żadnym dźwiękiem.

Jest jeszcze ciemno i dopiero co opuściłem leśniczówkę zdążając na tokowisko. Posuwam się wolno dróżkami leśnemi, wsłuchany w melodyjny szum drzew. Patrzę na zegarek i ze zdziwieniem stwierdzam, że jest już godzina 3-cia. Przyśpieszam więc kroku, by zdążyć na stanowisko. Nie mam przy sobie żadnej broni, ale zaopatrzony jestem w lornetkę. Nie chcę pozbawiać życia zwierzyny, która cieszy się pięknością przyrody, lecz chcę choć trochę uroku nabrać do swej duszy.

Wkońcu przybywam na stanowisko. Jest to budka, utworzona z rusztowania. opleciona chróstem świerkowym. W środku stoi ławeczka.

Na wschodzie niebo trochę się rozjaśnia i otoczenie przechodzi w szary ton. Z oddali słychać już głuche, lecz dźwięczne buczenie: bu-u-u-u-u-u — odzywa się bąk z nad mokradeł.

Robi się coraz jaśniej. wschodnia część nieba jest już lekko zaróżowiona. Rozeznać już mogę młode sosenki i brzózki, rosnące koło mnie, a w oddali widzę czarną ścianę zwartego drzewostanu.

Naraz odzywa się głos kukułki; liczę jej zawołania i dochodzę do liczby; a więc tyle lat obiecuje mi jeszcze życia. Niezmordowanie odzywa się głos kukułki z coraz to innej części lasu, aż wkońcu rozbudzone ze snu. odzywają się skowronki, swoimi dźwięcznemi głosami. Tymczasem słońce nie śpi. lecz zabarwia niebo coraz to więcej. Panuje jeszcze półmrok... Teraz już z naprężeniem czekam na rozpoczęcie się tokowiska. Z biciem serca czekam na pierwszego cietrzewia.

Lata... Cata...! Siada!... I w tej chwili ponad ranną rosą rozlega się głos najpiękniejszego ptaka lasów nizinnych, cietrzewia: Czuchchchszszsz... Czuchchchszsz... Wzywa swoich rywali na plac walki.

Przykładam szkła do oka i widzę majestatycznie spacerującego ptaka. Ledwo odróżniam jego barwę. Cietrzew dalej gra.

Czeka na rywala... Leci coś — jest to samiczka — mniej barwna i zapada gdzieś w pobliżu: jest to pierwszy widz, a zarazem przyczyna mającej się rozegrać walki.

Zaciekawiony jestem coraz bardziej. Niedługo już czekam. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz niebo zalane jest purpurą; wyraźnie odbijają się poszczególne objekty a para cietrzewi w dalszym ciągu trwa na stanowisku. Ciągle cietrzew wzywa jeszcze konkurenta na plac walki. Coraz to częściej „czuszyka“ i bije skrzydłami, uwydatniając grę barw skrzydeł i całego tułowia, a przedewszystkiem korali.

No jego głos wkońcu nadlatuje rywal i „czuszykając“ przystępuje do ataku. Przed oczyma moimi roztacza się scena ze średniowiecznych turniejów: dwaj rycerze toczą zacięty bój o wybraną, która obserwuje przebieg walki, zagrzewając od czasu do czasu to jednego to drugiego kochanka wołając:

ko! ko! ko! ko! ko! ko!..

Cietrzewie nacierają na siebie, bijąc się dziobami, skrzydłami i pazurami. W źrenicach ich oczu tkwi błysk pogardy dla przeciwnika i widać stalową wolę zwycięstwa.

Z zaciekawieniem śledzę przebieg walki, nie bacząc zupełnie na otoczenie. Naraz ptaki, które były przedmiotem mej obserwacji, jakby wystraszone, poderwały się do lotu i poleciały ciężko ku wierzchołkom drzew, żeby później w innem miejscu zakończyć rozpoczęty turniej.

Oglądam się jednak za przyczyną odlotu cietrzewi i widzę wychodzącego z poza drzew rogacza, który znajdował się na rannym spacerze. Nie odstraszam kozła i czekam aż się oddali.

Słońce już wychyliło się tymczasem ponad horyzont, rzucając olbrzymie cienie na ziemię. Na gałęziach drzew i krzewów błyszczą tysiące brylantów: to kropelki rosy, połyskują światłem wschodzącego słońca. Las coraz to bardziej rozbrzmiewa śpiewem ptaków. Słyszę stukanie dzięcioła, srebrny głos skowronka, gwizdanie zięby, nawoływanie kukułki.

Końca walki już nie widziałem.

Erwin Cichoń kurs II leśny.

BÓR O ZMROKU.

Z nieb zmierzch liljowy płynie,
Słodki jak woń kadzideł.—
Szczyty drzew na kształt skrzydeł
Sterczą w niebios głębinie.—
Zalega smętna głusza
Po pieśni dnia wspaniałej.—
W tej ciszy oniemiałej
Boru się kryje dusza.
Srebrnym czarem opyla
Noc ciszę tajemniczą
I samą się słody zą
Zda być wieczoru chwila.
Nieraz pragnę wieczorem
Nim zwiędną słońca zorze,
Żyć wiecznie w mrocznym borze
I w jedno zżyć się z borem.

L. D P. II leśny

OPOWIADANIE...

Śnieg nie padał. Było zbyt zimno, aby padał śnieg. Między niebiem a ziemią trwał drobniutki pył śnieżny. Skrzył się w słońcu, jaśniał, jak żywe brylanty, jak płonące ale zimne skry... Dwie groźne moce zimowe: mróz i wicher królowały na lodowatej płaszczyźnie. Wicher wznosił białe tumany śnieżne, kłębił je, rozpylał i smagał niemi, ciął boleśnie, wszystko dokoła, jak śmiertelnym zimnym biczem... A złoty, ale nieczuły i okrutny, uśmiech słońca miał w sobie większą grozę ponad mróz i ponad wicher. Przez zbite zagaje świerkowe przywalone zaspami śniegu, przez białe gąszcze i leśne błota, wilcze stado podążało, niezmordowanie ku ostępom cichym, bezpiecznym i dalekim od ludzi. Zmierzało tam co wieczora tym samym utartym szlakiem. Wilki szły mądrze, wstępując trop w trop jeden za drugim, świadome groźnej zdradliwości śniegu, który wszystkim rozpowiada najskrytsze tajemnice puszczy. Skręciły wreszcie w koryto zamarzniętej rzeki... Lód w łunie zachodu jaśniał jak żywy ogień... Na złotej rzece światłości wilki pozostawiały za sobą w śniegu długi ślad, podobny do modrej wstęgi.

Tymczasem słońce pochyliło się nisko nad czarne bory. Śnieg począł w cieniu błękitnieć. Zbliżał się zimowy mroźny wieczór. Biała ziemia znaczona była tysiącami tropów. Sznury lisie przypominały szeregi niebieskich pereł. Ścieżki i pętle zajęcze skrzyły ostatniemi błyskami zachodu...

Wilki zatrzymywały się czasem, obwąchując jakiś trop, poczem szły dalej ku wytkniętemu celowi. Wtem czuły ich węch przejął jakąś dziwną woń, nieznaną im dotąd, niespotykaną w tych stronach puszczy. Stanęły. Na śniegu widniał wielki ślad, ni to ludzki ni zwierzęcy, ślad zmierzający ku tym samym ostojom, ku którym i ich pędził głód z dalekich borów... Szły teraz wolno, łącznie obwąchując nieznane tropy, gotowe w każdej chwili do ucieczki. Doszły tak do leśnej polany, otoczonej gęsto świerkami i jałowcami. Było tam końskie cmentarzysko. Odarte ze skóry trupy końskie, poogryzane i zmarznięte leżały w sztywnym martwym bezładzie... Co wieczór urządzało stado tutaj ucztę. Ciszę przerywały wówczas gniewne charkoty gryzących się o ścierwo biesiadników, trzask gruchotanych kości w białych, lśniących zębach, a czasem żałosne, niskie wycie, wilcze, które jest najboleśniejszym głosem świata.

Słońce już zaszło gdy szara zgraja ostrożnie wysypała się na leśną polanę. Wiedziały, że tajemniczy zwierz jest na tej polance. Trop im to powiedział i wiatr. Jakoż stał, olbrzymi, kudłaty, bury. Zrozumiały: niedźwiedź. Zrozumiały, choć go jeszcze nigdy nie widziały na swej drodze.

Stał spokojnie nad końską padliną, cicho mrucząc, jakgdyby ich nie widział i nie zwietrzył... Była w tem pogarda i poczucie swej ogromnej siły... Odskoczyły trwożnie... lecz głód, wilczy głód, skręcający im jelita nakazał nie opuszczać łatwej końskiej zdobyczy... Przysiadły na zadach, pokładły się w gęstwinie, czekając cierpliwie, niepewne co czynić.

Niedźwiedź nie przerywał swej wieczornej uczty.. nie raczył ich nawet odegnać... Mięsa było w bród. Tu kadłub z wygryzionym zadem, tam białe sztywne żebra z kawałami zmarzniętego ścierwa...

Wszystko to stanowiło wielką pokusę dla łaknących żeru wilków... A jednak nie śmiały podejść... Niedźwiedź jakby igrając z ich głodem i trwogą, wolno, bez pośpiechu przełaził od jednego trupa do drugiego, wybierając i przebierając najlepsze kawałki mięsiwa... Jakgdyby w puszczy nikogo więcej nie było... A one czekały, nie wiedząc same na co...

Aż nagle stała się rzecz straszna! Gdy niedźwiedź podszedł do jednego z trupów końskich, najświeższego, gdzieś z pod śniegu, z pod ziemi wyskoczyły żelazne zęby—kleszcze, ostre kły i pochwyciły go za tylną nogę... Ryknął z bólu i wściekłości... trzasnął żelazem... Lecz kleszcze mocno trzymały! Począł się miotać, szamotać beznadziejnie. W ryku teraz prócz gniewu była rozpacz i bezsiła... tłukł, bronił się usiłował kąsać potrzask—raniąc się i kalecząc boleśnie...

Porwały się leżące w gąszczu wilki. Poczuły krew świeżą... Zapomniały o trupach końskich, o zmarzniętej twardej padlinie. Miały przed sobą świeżą krew, żywe mięso.. Dopadły zwierza. Pokryły go kłębowiskiem szarych ciał..

Wówczas zaryczał poraz drugi... wstał... otrząsnął się wyciągając przed siebie kudłate łapy, chwycił w nie kłąb rozżartych bestji, zmiażdżył, odrzucił precz... Pozostałe odskoczyły. Oprzytomniały nieco... Ale krew, której zakosztowały uderzyła im do łbów, budząc bezczelność i odwagę.

Zrozumiały, że zwyciężą wytrwałością. Obstąpiły zwartem kołem i czekały wyzywające, bezczelne i pewne siebie. Niedźwiedź zaś z żelazem u nogi, powoli instynktownie cofał się ku wyniosłej sośnie, która mogła mu w walce tył osłonić. W ciem-

ności zalegającej puszczę świeciły ogniki wilczych ślepiów, postępujących za włóczącym nogą w oklepcu niedźwiedziem...

Niski, wielki księżyc wytoczył się nad czarne świerki i oświetlił zimnym swym blaskiem polanę. Niedźwiedź zaś, cofając się, wyrywał młode drzewka z korzeniami i miotał niemi w następujących coraz śmielej przeciwników. Podczas odwrotu zaczepił żelazem o krzak przysypany sniegiem—wilki natarły drapieżniej — bury zwierz poczuł, że jest zgubiony. Ostatnim wysiłkiem usiłował wydobyć się z zaspy.. Zatrząsł potrzaskiem i ryknął z bólu... Lecz w tym ryku był zarazem triumf... W piekielnych szczękach potrzasku zostały palce z pazurami... Oswobodzony z nieznośnego ciężaru, wyprostował się i ruszył na zgraję... Ciskając złomami, gnał przed sobą w popłochu umykające wilki-tchórze, odważne tylko wobec bezbronnego..

Dopadł pierwszego - rozgniótł, aż zachrzęściły gruchotane żebra... Dogonił inne, gromił szponami, kłami, impetem, potęgą.. Poczem zziajany, zmęczony, ciężko dyszący, wrócił pod krzew jałowca, w którym zostało żelazo... Obwąchał je dokładnie, rozważnie... Nie było już groźne. Nie kąsało już. Zrozumiał... I ruszył w puszczę, utykając na jedną nogę, niezwalczony i mądry nowem doświadczeniem.

— — — — — — — — — — — — —

Myśliwcze, który na wilczych przesmykach stawiasz w puszczy żelaza! Nie zatrzaskują ci ich każdej zimy psotne duchy leśne i nie one pożerają przynętę. Nie wilkołaków to sprawa, nie dzielnego łowcy to zabawa!.. To Niedźwiedź bury, mocarz boru, chodzi po puszczy od padliny do padliny, od żelaza do żelaza i łomem drzewnym ciska w potrzask... A kiedy pułapka zatrzaśnie się, wówczas dopiero zaczyna się bezpieczna uczta... A jeśli na śniegu badać poczniesz jego trop, zauwazysz wówczas, iż mądry ów niedźwiedź utyka na tylną nogę i zobaczysz ze śladu—że brak mu na niej kilku pazurów...

Rozum ludzki jest wielki: ludzie wymyślili żelaza i podrzucają chytrze przynętę... Ale rozum zwierza jest większy, umie uniknąć żelaza—i pożreć przynętę... A gdy mu człowiek poda ścierwo zatrute—omija je... Bowiem mięso umieję truć tylko ludzie. Lecz omijać truciznę umieją tylko zwierzęta...

L. R. p. E. kurs III leśny.

Tłoczono w drukarni W. Cwika w Krzemieńcu.

W y d a w c a: Koło Literacko-Naukowe Młodzieży Liceum Krzemienieckiego pod opieką p. Kazimierza Groszyńskiego.

K o m i t e t r e d a k c y j n y: J. Laskosiówna, J. Sułkowska, J. Żułkosiówna, B. Liżewski, Z. Rumel.

Komitet redakcyjny Szkoły Rolniczej w Białokrynicy: W. Motyka, E. Cichoń, J. Chrzanowski, S. Ptak.

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego Działu Młodych jest R. Stachórski, sekretarzem—F. Łańcucki.

Z a k o m i t e t r e d a k c y j n y: *J. Sułkowska*

A d m i n i s t r a c j a: W. Kucharuk, T. Gogół.

Adres redakcji i administracji: Krzemieniec, Liceum „Nasz Widnokrąg“.

C e n a p r e n u m e r a t y: Rocznie 2 zł., z przesyłką pocztową 2.40 zł. Cena pojedyńczego numeru 25 gr. z przesyłką pocztową 30 gr.